Magazyn
Reportaż

Kardynał w Wilnie

Ostra Brama, wąskie uliczki, klasztor dominikanów... W niejednym z tych miejsc księdzu Henrykowi Gulbinowiczowi zakręciła się łza w oku. Po latach spędzonych we Wrocławiu kardynał wybrał się w sentymentalną podróż do krainy dzieciństwa. Do ukochanego Wilna. Towarzyszyło mu 170 wrocławian i nasza dziennikarka Agata Grzelińska

Na wileńskim lotnisku Oro Uostas samolot specjalnie wyczarterowany na tę wyjątkową pielgrzymkę wylądował chwilę po godzinie 8 rano w niedzielę. Kłębiły się jeszcze szare chmury. Niedawno przestało padać. Powietrze było rzeźkie (tuż przed lądowaniem pilot poinformował, że w stolicy Litwy jest zaledwie 10 stopni).

Pierwszy punkt pielgrzymki: klasztor dominikanów. Osiemdziesiąt pięć lat temu był tam szpital św. Jakuba, w którym Waleria Gulbinowicz, z domu Gajewska, 17 października 1923 roku urodziła syna.

– Pamiętam, że moja mama zaprowadziła mnie tam jako małego chłopca i powiedziała: „Zobacz, to tutaj przyszedłeś na świat" – wspomina emerytowany metropolita wrocławski.

Kardynał z sentymentem wspominał też teatr wileński. W czasie wojny kwitło tam bujne życie teatralne. W 1940 roku na deskach tego teatru debiutował popularny, nieżyjący już aktor Zygmunt Kęstowicz, znany z roli seniora rodu w serialu „Klan" i z „Piątku z Pankracym", kolega kardynała Gulbinowicza. Niektórzy z wileńskich znajomych wrocławskiego hierarchy przyszli do Ostrej Bramy, by spotkać się z nim osobiście. Wśród nich był m.in. ks. Antoni Wilk.

– Miałem i nadal mam tutaj sporo przyjaciół – przyznaje kard. Henryk Gulbinowicz. – Niestety, wielu z nich jest już na tamtym świecie, ale przypuszczam, że wśród młodych też jest ktoś, kto słyszał o takim starym kardynale.

Wizyta w Ostrej Bramie, choć w otoczeniu sporego tłumu, była chyba dla kardynała najbardziej osobistym punktem pielgrzymki. Przywołała wiele wspomnień. Tych z wczesnego dzieciństwa, z rodzinnego domu, i tych z młodości, z pracy na Wileńszczyźnie. W czasie kazania, które mówił o rodzinie, wspominał, jak ze swoją siostrą, jako zupełne maluchy, gdy rano wstali, biegli do rodziców.

Wizyta w Ostrej Bramie była dla kardynała najbardziej osobistym punktem programu pielgrzymki. Więcej zdjęć na: www.polskagazetawroclawska.pl

FOT. AGATA GRZELIŃSKA

– I mówiliśmy: „Mamusiu, tatusiu – krzyżyk" – opowiada hierarcha. – Bo dla małego dziecka pojęcie błogosławieństwa jest za trudne. Do tego dochodzi się później, z biegiem lat. I matka albo ojciec czynili nam znak krzyża. Co to znaczy? Że swojego synka czy córeczkę polecali Bogu.

Kardynał opowiadał pielgrzymom też o swojej pierwszej ważnej wizycie w sanktuarium ostrobramskim i o pewnym panującym tam dawniej zwyczaju.

– Gdy dziecko umiało już pacierz, umiało się przeżegnać i wiedziało coś o Bogu, a więc między czwartym a piątym rokiem życia, przyprowadzano je do Ostrej Bramy i ofiarowywano Matce Najświętszej – mówił kardynał. – Kiedy miałem pięć lat, też zostałem tutaj przyprowadzony. Pamiętam, jak szedłem po tych schodach, trzymając się bardzo mocno ręki taty, bo te schody były wtedy jakieś ciemne. Wyszedł kapłan ubrany w komżę, stułę i kapę, i w sposób bardzo uroczysty odczytał nade mną modlitwę. Wszystkich poświęcił wodą, a potem powiedział: „Patrz, to jest twoja Matka, która nigdy o tobie nie zapomni, bo zostałeś jej ofiarowany". Oczywiście moja ziemska mama była wtedy obecna, i ciotki były obecne, i chrzestni byli obecni. Wiecie, czego wymagano? By wcześniej wszyscy przystąpili do spowiedzi i do komunii świętej, aby czystymi rękami ofiarowali dziecko Marii Pannie Ostrobramskiej. Jestem bardzo wdzięczny moim rodzicom za to, bo choć matka moja nie żyje już czterdzieści lat, ojciec około trzydziestu, ja zawsze czuję opiekę i pomoc.

W mieście, gdzie kardynał przyszedł na świat i gdzie spędził młodość, ciągle wracały jak żywe różne wspomnienia. Nie tylko z własnego domu rodzinnego.

– Jestem starym człowiekiem. Wielu z was tu obecnych dobrze wie, że otrzymałem święcenia kapłańskie w 1944 roku z rąk arcybiskupa Romualda Jałbrzykowskiego – wspominał kardynał Gulbinowicz w Ostrej Bramie. – Tenże arcybiskup w 1951 roku posłał mnie do pracy w parafii na taką zabitą deskami wieś. Spotkałem tam bardzo głęboko wierzących ludzi. Pamiętam pierwszą moją wizytę kolędową. Wieś nazywała się Szczęsnowice. W czasie wojny była zrównana z ziemią. W 1951 roku ludzie mieli już pobudowane maleńkie domy. Przychodzę do takiego jednego domu, gdzie cała rodzina składała się z młodego ojca, młodej matki i dziecka, które było u ojca na ręku. Stary zwyczaj wileński nakazywał pomodlić się za całą rodzinę, pośwęcić wszystkie pomieszczenia. Tam była tylko jedna izba i maleńka sionka. Po wspólnej modlitwie trzeba było każdego z rodziny – od najmłodszego do najstarszego – zapytać katechizmu. Zapytałem więc ojca, potem jego żonę. Patrzę, że na ręku u ojca siedzi chłopczyk. Może miał 14 miesięcy, a może trochę mniej, więc zbieram się do wyjścia, a ten tata mówi do mnie: „Proszę księdza, ale ksiądz jeszcze jednej osoby w naszej rodzinie nie spytał katechizmu". Pytam: kogo? „A mojego synka, Andrzejka" – opowiadał kardynał. – Do dziś pamiętam tego tatę i tego malucha. Zrobiło mi się jakoś nieswojo. Żeby wyjść z sytuacji obronną ręką, mówię: „Niech pan zapyta swojego syna z katechizmu". A ten powiada: „Andrzejku, pokaż księdzu, gdzie jest Bozia?" I malutki paluszek chłopca przytulonego do taty pokazał na święty obraz.

Wilnianie nie zamierzali wypuścić kardynała bez podarków. Przynieśli mu m.in. litewski chleb i ogromną zieloną palmę jako symbol ciągle żywej i kwitnącej na Litwie kultury polskiej. Kardynał przyjął prezent i od razu znalazł dla niego miejsce.

– Zawiozę ją do Wrocławia i z obecnym tu księdzem infułatem, proboszczem katedry, postawimy ją w katedrze, żeby wrocławianie zobaczyli, jakie wilnianie mają talenty artystyczne – stwierdził.

Żegnając się z Polakami z Wilna, kardynał stwierdził, że ma nadzieję, że uda mu się jeszcze zawitać do rodzinnego miasta.

– Mnie już niedługo nie będzie na tym świecie. Wybieram się do Domu Ojca, ale jak dożyję, to w czerwcu przyjadę, a jak nie dożyję, to pomódlcie się za mnie – mówił. Na koniec wizyty stwierdził, że kraju rodzinnego się nie zapomina, że ciągną do niego jakieś siły, które zostały wszczepione w serce w dzieciństwie i w młodości. – I mnie coś takiego tu przyciąga – wyznał. – Widzę, jak w ostatnich latach to piękne miasto bardzo się zmieniło. Pod wieloma względami jest inne niż kiedyś, ale wciąż bardzo mi bliskie. W Wilnie czuję się u siebie.

Do Wilna podróżowaliśmy dzięki uprzejmości Biura Podróży Panorama. Dziękujemy!
PANORAMA